

Jan Rokita: Przed podróżą do Sochaczewa

Niemcy nie są i nie będą również w przyszłości wiarogodnym partnerem do militarnych operacji przeciw Rosji, jeśli miałyby one wynikać z jakichkolwiek powinności wobec krajów trzecich, tak jak np. obecnie wobec Ukrainy. Militarizm ekspansji, nawet gdy chodzi o geopolityczną ekspansję wolnego świata, łatwo pobudzić w Waszyngtonie, ale nie w Berlinie – pisze Jan Rokita w kolejnym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

To, że w Niemczech rozpoczął się właśnie łagodny nawrót do starej i dobrze tam znanej (choć tylko z historii) tradycji militarizmu, raczej nie powinno budzić już wątpliwości. Owym spektakularnym faktem, który zwrócił uwagę świata, jest „zwrot Scholza” w dziedzinie wydatków zbrojeniowych, potwierdzony zmianą niemieckiej konstytucji, która odtąd pozwala na zaciąganie stumiliardowego długu na zbrojenia, bez brania pod uwagę, tak ważnych przecież w niemieckiej kulturze budżetowej, hamulców zadłużenia. Ale prawdę mówiąc, co tak naprawdę znaczyć będzie ów zwrot dla przyszłości niemieckiej armii, chyba nie jest jeszcze jasne. Na ile bowiem śledzę niemiecką debatę publiczną, to nikt w obecnym lewicowo-zielono-liberalnym obozie władzy nie wyjaśnił dotąd, czy to właśnie ów dług, zaciągany teraz na rzecz modernizacji armii, ma sprawić, że na przyszłość niemieckie wydatki zbrojeniowe przekroczą sławne NATO-wskie 2% PKB, czy też coroczny budżet armii na poziomie owych 2% jest planowany niezależnie od owego długu. Faktem jest, że gdyby ten drugi, bardziej ekspansywny scenariusz miał się spełnić, to Niemcy,

przynajmniej w dziedzinie wydatków na wojsko, winny wkrótce stać się trzecią globalną potęgą, wyprzedzając Francję, Anglię, Arabię Saudyjską i Indie, no i rzecz kluczowa – zrównując się mniej więcej z Rosją, która w tym roku (wedle danych brytyjskiego rządu) zwiększa swe wydatki zbrojeniowe o 20%.

Militaryzm miewa dwie odmiennie postaci: może być militaryzmem ekspansji, albo strachu

Przyznam, że z mojej perspektywy, ważniejsze i ciekawsze świadectwa tej nowej, miękkiej wersji niemieckiego

militaryzmu wymykają się kalkulacjom budżetowym. Mam tu na myśli raczej nowy klimat, jaki towarzyszy teraz tamtejszej debacie o armii. Socjalistyczny prezydent przekonuje, że warto by zaprowadzić obowiązkową służbę militarną albo socjalną dla wszystkich młodych ludzi obojga płci, gdyż taki system „buduje poczucie narodowej wspólnoty”. Lewicowa, ale i prestiżowa „Die Zeit” wszczyna debatę nad kwestią, czy wyszkolenie militarne nie powinno stać się częścią programu niemieckiej szkoły, nie przejmując się zbytnio tym, iż przeciwnicy tego pomysłu natychmiast zidentyfikowali go jako enerdowski model oświaty, wdrożony swego czasu przez osławioną Margot Honecker. Z kolei w dziecięcym dodatku do popularnego „Spiegla” dwie dziewczynki przeprowadzają wywiad z najważniejszym oficerem Bundeswehry gen. Zornem, który w słowach pełnych zachwyty opowiada dzieciom jak ważną i dobrą rzeczą jest niemiecka armia. Lecz scenka rodzajowa najbardziej wymowna, to obrazek zielonego wicekanclerza Habecka (nota bene najpopularniejszego

polityka niemieckiego), który po obejrzeniu pokazu nowoczesnej „Panzerhaubize 2000” mówi z nieskrywanym zachwytem do kamery telewizyjnej: „Patrzcie, ona naprawdę może dużo zrobić!”.

Jest jasne, że wszystko to zupełnie nie pasuje do stereotypu powojennych Niemiec, jako ojczyzny wegan, rowerzystów i pacyfistów, utrwalonego w świadomości Europejczyków i ośmieszanego swego czasu w niemieckiej prasie przez szefa polskiej dyplomacji. Trudno też przewidzieć w jakim tempie następować będzie przebudowa niemieckiej tożsamości, ukształtowanej mocno przez powojenne pranie mózgow, przeprowadzone przez Amerykanów. Sam sądzę, że nie dokona się to ani łatwo, ani szybko, zaś przeflancowanie dzisiejszego pokolenia młodych Niemców, choćby na miękkich militarystów, wymagałoby wieloletniej i konsekwentnej politycznej pedagogiki ze strony państwa. Tyle tylko, że za sprawą wybuchu wojny wschodniej, taka pedagogika właśnie ruszyła z kopyta. Zwłaszcza z polskiej perspektywy, jest rzeczą najwyższej wagi, aby dobrze pojąć naturę tego nowego niemieckiego trenu militarystycznego i nie popełnić tu jakiegoś błędu w ocenie, o jaki z historycznych powodów bardzo łatwo. Taki błąd może nas bowiem kosztować wadliwe, być może nawet na wiele lat, ukształtowanie polskiej polityki zewnętrznej.

Przewaga Ameryki nad resztą świata pod względem zbrojeń wynika z imperialnej chęci zachowania kontroli nad stanem spraw na całym globie

Militaryzm miewa dwie odmienne postaci: może być militarystycznym ekspansji, albo strachu. Dobrymi współczesnymi przykładami tej

dychotomii są Ameryka i Izrael. Przewaga Ameryki nad resztą świata pod względem zbrojeń wynika z imperialnej chęci zachowania kontroli nad stanem spraw na całym globie. Z kolei ogólnonarodowy wysiłek militarny Izraela ma swe źródło w obawie towarzyszącej bodaj każdemu Żydowi, że już jutro jakiś wróg może podjąć próbę likwidacji państwowości żydowskiej. Nowy niemiecki militarizm ma wyraźnie ten drugi charakter. W lutym 2022 roku nie tylko niemieccy politycy, ale i dowódcy armii ze zdumieniem odkryli, że Bundeswehra to nie jest tylko symboliczny atrybut postnowoczesnej państwowości, ale najzupełniej realny instrument obrony państwa i jego interesów. Dobrze pamiętamy, że trochę ponad dekadę temu prezydent Niemiec, który wypowiedział podobną opinię, uznany został za niebezpiecznego militarystę i musiał podać się do dymisji. Teraz gen. Martin Schelleis – szef Narodowego Dowództwa Terytorialnego, publicznie wyznaje (w wywiadzie dla „Koelner Stadt-Anzeiger”), iż: „jesteśmy ostro zagrożeni, a dotąd nikt z nas na serio nie wierzył, iż użycie Bundeswehry na dużą skalę może się okazać koniecznością”. To jest wyrazista miara przemiany niemieckiej świadomości.

Niemcy nie są i nie będą również w przyszłości wiarogodnym partnerem do militarnych operacji przeciw Rosji, jeśli by miałyby one wynikać z jakichkolwiek powinności (traktatowych czy politycznych) wobec krajów trzecich, tak jak np. obecnie wobec Ukrainy. Militarizm ekspansji, nawet gdy chodzi o geopolityczną ekspansję wolnego świata, łatwo pobudzić w Waszyngtonie, ale nie w Berlinie. Dlatego niemiecki udział w obecnej wojnie wygląda tak jak wygląda. Ale po 24 lutego, w Berlinie zaczyna mocno sadowić się militarizm strachu, co znaczy, że Niemcy, po raz pierwszy po ponownym zjednoczeniu, liczą się z realną koniecznością obrony kraju i jego interesów, także w razie rozlania się wojny wschodniej poza terytorium Ukrainy. To oczywiste, że na takim rodzaju niemieckiego militarizmu Polska może tylko korzystać, a nie

tracić. Skoro bowiem po wejściu do Unii doszliśmy do systemowej integracji gospodarczej z Niemcami, tworząc dziś z nimi de facto ekonomiczną Mitteleuropę, to następnym logicznym krokiem byłaby militarna Mitteleuropa, ochraniająca bezpieczeństwo tej pierwszej. To oczywisty interes kraju, którego „serce zwykło podążać za niemieckim handlem” (jak pisała prof. Ulrike Guerot). Ale to przede wszystkim egzystencjalny interes Polski, która choćby się nie wiem jak zaczęła militaryzować, niestety, nie ma szans, aby stać się trzecią potęgą wojskową na globie. Mąż stanu, sprawujący władzę w dzisiejszej Polsce, powinien był się nad tym wszystkim dogłębnie zastanowić, nim jeszcze wyruszył w swoją podróż do Sochaczewa...

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego